Na straży WYBRZEŻA

GAZETA MARYNARKI WOJENNEJ

Nr 137 (170) Gdynia, dnia 13 czerwca 1951 r. Rok II

DZIŚ W NUMERZE:

WŁASNY PRZYKŁAD — NAJLEPSZĄ METODĄ WYCHOWANIA str. 2

JAK KOLEGIUM REDAKCYJNE PRZYGOTOWUJE NOWĄ GAZETKĘ ŚCIENNĄ str. 2

BUCIKI — OPOWIADANIE O FELIKSIE DZIERŻYŃSKIM str. 3

FLOTA ZWYCIĘŻYŁA GWARDIĘ W SIATKÓWCE str. 4

SZTANDAR — dokończenie str. 4

Polskie porty szerokim oknem na świat

W wyniku historycznego zwycięstwa Związku Radzieckiego nad hitlerowskim imperializmem odzyskaliśmy 500-kilometrowy pas z trzema wielkimi portami — Gdańskiem, Gdynią i Szczecinem, oraz trzema portami mniejszymi — Kołobrzegiem, Ustką i Darłowem.

A należy przyznać, że wiele zmieniło się w portach polskich od czasu wojny.

Wszystkie bez wyjątku polskie porty morskie przedstawiały w roku 1945 obraz zniszczenia wojennego i celowej dewastacji dokonywanej przez cofające się wojska hitlerowskie.

W rezultacie wykonania trzyletniego planu inwestycyjnego porty nasze zostały odbudowane a nawet rozbudowane. Zespół portowy Gdańsk — Gdynia zajął trzecie miejsce na kontynencie europejskim, a port w Szczecinie stał się bazą manipulacyjną dla milionów ton masowych ładunków, zyskując jednocześnie tereny przeładunku drobnicowego i specjalnie rzecznego.

Ilość towarów przeładowanych w naszych portach do roku 1946 wzrosła trzykrotnie, a w roku 1949 zwiększyła się dwukrotnie w stosunku do roku 1946. Szczególnie burzliwy rozwój przechodził Szczecin, gdzie przeładunek zwiększył się w Planie Trzyletnim sześciokrotnie.

Zadania Planu Trzyletniego — obniżenie kosztów przeładunku i wmożenie atrakcyjności portów — zostały osiągnięte dzięki wejściu na drogę gospodarki planowej, oraz dzięki podniesieniu sprawności pracy, na bazie podjętego przez klasę robotniczą współzawodnictwa pracy i racjonalizatorstwa.

Odbudowano w międzyczasie szereg zniszczonych nabrzeży i urządzeń w tzw. małych portach: Ustce, Darłowie i Kołobrzegu, tak że część przeładunku towarów masowych była w pewnych okresach kierowana przez te porty, aczkolwiek większe ożywienie tych portów nastąpi dopiero w rezultacie rozbudowy przemysłu lokalnego, rolniczo-spożywczego i rybnego. Taka podstawa gospodarcza, przewidziana w Planie Sześcioletnim, umożliwi dopiero rozwój przeładunku drobnicy i żeglugę małotonażową wzdłuż wybrzeża w ruchu między wybrzeżem a sąsiednimi portami zaprzyjaźnionych państw.

Jakie są gówne zadania postawione portom w Planie Sześcioletnim?

Przede wszystkim wartość obrotów towarowych wzrośnie o całe 40%, przy stosunkowo mniejszym wzroście wagowym, co oznacza wzrost przeładunku drobnicy, przejście od towarów masowych do towarów przemysłowych, do produkcji przemysłu ciężkiego, lekkiego i spożywczego w eksporcie i towarów inwestycyjnych — w imporcie.

W rezultacie rozwoju i zagęszczenia regularnych linii okrętowych w portach polskich, zwiększa się możność regularnego transportu cennych towarów drobnicowych do wszystkich większych portów świata.

Jeżeli chodzi o specjalizację portów, to porty wielkie pozostaną na ogół zespołami uniwersalnymi, w porcie gdyńskim przeważać będą jednak ładunki drobnicowe, w Gdańsku — masowe. Port szczeciński dzięki swemu położeniu będzie rozwijał przeładunki masowe, częściowo z transportu rzecznego oraz przeładunki tranzytowe.

Już w roku 1950, pierwszym roku Planu Sześcioletniego, porty poczyniły szereg kroków organizacyjnych zespalając je bliżej z budującą się gospodarką socjalistyczną kraju.

Zespół Gdynia — Gdańsk oraz port w Szczecinie zostały skomercjalizowane, tworząc przedsiębiorstwa na rozrachunku gospodarczym. Reorganizacja ta z jednej strony daje portom większe możliwości do walki o zniżenie kosztów własnych, z drugiej zaś scala dyspozycję portową, rozproszoną dotychczas w różnych przedsiębiorstwach spedycyjnych, sztauerskich itp. w jednym ręku, co ułatwia znów walkę o skrócenie postojów statków.

Socjalistyczny stosunek do pracy ze strony robotników portowych pozwala na skrócenie czasu przeładunków w naszych portach.

Szybki przeładunek jest również rezultatem nowoczesnego uzbrojenia technicznego naszych portów, uzbrojenie techniczne zaś jest coraz lepsze w rezultacie prac inwestycyjnych, przewidzianych w Planie Sześcioletnim.

Wreszcie stosunki handlowe, w zrozumieniu wspólnych interesów państw demokratycznych, opierają się na zasadzie obopólnego zaufania i respektowania swoich praw.

Wszystkie te czynniki wpływają na to, że zaprzyjaźnione z nami kraje coraz chętniej korzystają z usług naszych portów. Dlatego porty nasze stają się także portami krajów demokracji ludowej.

W naszej Ludowej Ojczyźnie

Uchwały Rady Ministrów o państwowych nagrodach w dziedzinie nauki, postępu technicznego i sztuki

WARSZAWA. Rada Ministrów, dając wyraz szczególnej opieki państwa nad rozwojem nauki postępu technicznego i sztuki, w trosce o wszechstronny rozwój kultury narodowej w Polsce Ludowej, ustanowiła **„państwowe nagrody za osiągnięcia w dziedzinie nauki, postępu technicznego i sztuki“.**

Nagrody będą przyznawane corocznie przez Prezydium Rządu **w dniu Święta Odrodzenia 22 lipca na** podstawie umotywowanych wniosków, przedstawionych przez Komitet Państwowych Nagród.

Do zadań komitetu należy systematyczna rejestracja poważniejszych osiągnięć w zakresie nauki, postępu technicznego i sztuki oraz gromadzenie wszelkich danych, potrzebnych do ustalenia kandydatur do państwowych nagród.

Nagrody są trzech stopni. Ustalona wysokość nagród wynosi:

I nagroda — 25.000 zł
II nagroda — 20.000 zł
III nagroda — 10.000 zł.

NAGRODY NAUKOWE mogą być przyznawane w zakresie wszystkich **dyscyplin naukowych** w dziedzinie nauk: matematyczno-przyrodniczych, technicznych, rolniczych i leśnych, medycznych, humanistycznych, ekonomicznych i prawnych.

W DZIEDZINIE POSTĘPU TECHNICZNEGO nagrody mogą być przyznawane za prace naukowe i techniczne lub osiągnięcia praktyczne na odcinku wprowadzenia nowej techniki, nowych konstrukcji, nowych tworzyw, nowych materiałów zastępczych, za opracowanie nowych metod pracy za wybitne osiągnięcia w ruchu współzawodnictwa wynalazczości i nowatorstwa.

NAGRODY ARTYSTYCZNE mogą być przyznane we wszystkich działach sztuki, a w szczególności w literaturze, muzyce, plastyce, architekturze, teatrze i filmie.

Młodzież polska przygotowuje podarunki na Światowy Zlot Młodych Bojowników o Pokój

WARSZAWA. Z każdym dniem wzrasta zainteresowanie naszej młodzieży Światowym Zlotem Młodych Bojowników o Pokój. W pracowniach, warsztatach, modelarniach i świetlicach wre praca nad przygotowaniem artystycznie wykonanych podarków dla uczestników zlotu. Podarunki te będą symbolem braterskiej solidarności młodzieży polskiej z walczącą o pokój młodzieżą całego świata.

Dla bohaterskiej młodzieży koreańskiej przygotowują dary w postaci serwet i strojów ludowych młode hafciarki ze spółdzielni trykotarskiej „Gwiazda“ w Szczecinie i pracownice PRN w Kartuzach.

Młodzież dolnośląskich zakładów dywanów i pluszu tka proporzec z białym gołębiem. Ten symbol pokoju przeznaczyła ona dla delegacji NRD.

Młodzież z wydziału mechanicznego DOKP Lublin rzeźbi na metalowym pucharze piękny ornament kuli ziemskiej, opleciony łańcuchem rąk symbolizujących braterstwo młodzieży w walce o pokój.

Studenci Akademii Sztuk Plastycznych wspólnie z młodzieżą z Akademii Górniczo-Hutniczej przygotowują brązowe plakietki z wizerunkami Generalissimusa Stalina, Prezydenta Bieruta i scenami z życia górników. Liczne z tych podarków przeznaczone są dla młodzeży walczącej o pokój i chleb w krajach kapitalistycznych i kolonialnych.

Ze szczególnym zapałem nasza młodzież przygotowuje podarki dla delegacji młodzieży radzieckiej, w której nasze młode pokolenie i cała postępowa młodzież świata widzi swego przewodnika.

Międzynarodowa konferencja górników

SOSNOWIEC. W dniach od 12 do 14 bm. obradować będzie w Sosnowcu w Domu Górnika Komitet Administracyjny Międzynarodowego Zrzeszenia Górników (departament ŚFZZ). W obradach wezmą udział delegaci 18 państw. Do Sosnowca przybyli już sekretarz generalny zrzeszenia Henri Turrel, delegaci Węgier, Rumunii, Bułgarii, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Nowej Gwinei, Luksemburga i Niemiec zachodnich.

Dnia 11 bm. przybyła do Warszawy delegacja związkowców radzieckich, która weźmie udział w obradach Międzynarodowego Zrzeszenia Górników w Sosnowcu.

W skład delegacji wchodzą: przewodniczący Zw. Zaw. Górników ZSRR — I. Rossoczinskij oraz pracownik Wszechzwiązkowej Centralnej Rady Zw. Zawodowych — E. Aleksejew.

87.000 nowych izb będzie oddanych do użytku w bieżącym roku

WARSZAWA. Nasilenie prac w budownictwie mieszkaniowym w Polsce z roku na rok wzrasta. Zwiększa się rozmiar i zasięg prac budowlanych wykonywanych nie tylko przez ZOR — głównego inwestora na odcinku budownictwa mieszkaniowego, lecz również przez Fundusz Gospodarki Mieszkaniowej i innych drobnych inwestorów.

Plan inwestycyjny ZOR na rok 1951 przewiduje w porównaniu z planem z roku ubiegłego zwiększenie ilości nowych izb o 8.700. W wyniku tego w br. zostanie oddanych do użytku 62.000 nowych izb.

Prócz budownictwa ZOR-u do końca bież. roku powstanie około 25.000 izb mieszkalnych. Zostaną one wybudowane m. in. w ramach budownictwa remontowego, prowadzonego przez Fundusz Gospodarki Mieszkaniowej oraz w ramach budownictwa indywidualnego, prowadzonego lokalnie w małych miasteczkach i na wsi.

Kilka tysięcy nowych izb mieszkalnych powstanie również w t. zw. obiektach niemieszkalnych, a więc w szkołach, budynkach administracyjnych itp.

Ogólnie w bieżącym roku plan przewiduje budowę około 87.000 izb mieszkalnych.

Na okrętach i w jednostkach Marynarki Wojennej

ORGANIZACJA PARTYJNA TROSZCZY SIĘ O WYSOKI POZIOM WYSZKOLENIA

Dążąc do tego, aby szkolenie było na jak najwyższym poziomie organizacja partyjna naszej jednostki wyznacza towarzyszy do pomocy słabszym.

Początkowo takim jak tow. Zurcz i tow. Jakubiec ciężko było przyswoić sobie trudniejszych zagadnień. Obecnie dzięki pomocy towarzyszy, dzięki wytężonej pracy nad sobą i poleceniom jakie otrzymali od egzekutywy uzyskują oni dobre wyniki w szkoleniu.

Dobrze przygotowany wykład jest jednym z podstawowych czynników w podnoszeniu na wyższy poziom wyszkolenia.

Przykładem dobrego wykładowcy jest tow. Jaraczewski, który do wykładów jest zawsze dobrze przygotowany, to też wykład jest przez wszystkich dobrze zrozumiany.

Towarzysze naszej organizacji partyjnej rozumieją, że należyte przygotowanie się do seminarium pozwoli osiągnąć dobre wyniki na egzaminach.

mat Grześkowiak

PRZYGOTOWUJEMY SIĘ DO POWIATOWYCH ELIMINACJI PIŁKI RĘCZNEJ

W naszej jednostce od dłuższego czasu przygotowujemy się **do mistrzostw powiatowych piłki** ręcznej. Treningi odbywają się systematycznie, prowadzone pod czujnym okiem oficera Konrada. W piłce siatkowej wybija się kol. Mitka i Matłajtis, którzy są jednocześnie filarem naszej drużyny. Służą oni zawsze radą i pomocą mniej zaawansowanym kolegom.

Naszą bolączką jest to, że posiadamy tylko jedną sekcję piłkarską, gdyż innych nie ma kto prowadzić. Brak instruktora wychowania fizycznego opóźnia u nas zdobycie odznaki SPO, którą jeszcze do tej pory nie posiada żaden z marynarzy naszej jednostki. Hasło — „Każdy marynarz zdobywcą odznaki SPO“ — jest u nas bardzo popularne, ale jak dotąd odznaka ta jest tylko marzeniem.

mar. Henryk Żukowski

STRZELANIE Z RKM-u WYPADŁO DOBRZE

Na kilka dni przed rozpoczęciem strzelania z broni maszynowej, w pododdziałach trwały intensywne przygotowania. Koledzy agitatorzy: Glugla, Bonczol, Czarnecki i inni pracowali nad słabszymi marynarzami — tłumaczyli im, wyjaśniali, pokazywali praktycznie jak należy składać się do strzału, celować itp.

Praca ich dała owoce. Pododdział wykonał strzelanie na dobrze.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje bosmat Smender, elew Rynkiewicz, Rogaś, Zagańczyk, którzy na 9 strzałów możliwych osiągnęli 9 trafnych.

elew K. Elbich

Własny przykład — najlepszą metodą wychowania

oto wytyczne pracy dowódcy drużyny mata Kica

Pododdział mata Kica przygotowuje się do warty. Marynarze skończyli właśnie czyszczenie broni. Mat Kic uważnie ją przegląda. Nic nie może ujść jego uwadze — broń na warcie, na tym ważnym, odpowiedzialnym odcinku żołnierskiej służby nie może zawieść.

— Wszystko w porządku. Teraz mat Kic bierze do ręki instrukcję i jeszcze raz omawia z marynarzami obowiązki wartownika.

Gdy któryś z nich ma jakieś niejasności, stara się natychmiast je tłumaczyć. Również i na wartowni mat Kic prowadzi pracę wyjaśniającą czyta marynarzom regulaminy, instrukcje i zarządzenia.

— Przypomnijmy sobie nasze podstawowe obowiązki — mówi do marynarzy. — W pierwszym rozdziale „regulaminu służby wewnętrznej" czytamy.

„...Żołnierz winien niezłomnie i święcie dotrzymać przysięgi wojskowej, winien być rzetelny, prawdomówny, odważny i nie szczędzić sił, oni życia przy wykonywaniu obowiązków żołnierskich.

„...Żołnierz winien dokładnie znać swoje obowiązki oraz wykonywać je umiejętnie i sumiennie,... dbać o swoją broń oraz mienie wojskowe i państwowe,... winien być czujny i ściśle strzec tajemnicy wojskowej i państwowej."

O tym winien nieustannie pamiętać każdy marynarz bez względu na to, na jakim posterunku pełni swą odpowiedzialną służbę, szczególnie w czasie pełnienia służby wartowniczej.

Mat Kic nie tylko od swych podwładnych marynarzy wymaga, aby żyli z regulaminem w ręku. Wykonując swe obowiązki dowódcy drużyny bez przerwy pamięta o regulaminie.

— „Szkolenie i wychowywanie drużyny — to pierwszy obowiązek dowódcy drużyny — mówi mat Kic.

Miałem w drużynie dwu słabych podwładnych: st. mar. Konarskiego i Sawickiego. Ciężko szła im nauka, robili mniejsze od innych postępy w służbie i wyszkoleniu liniowym. W trosce o ogólny poziom drużyny sam się nimi zaopiekowałem. Często w godzinach wolnych od zajęć siadałem wraz z nimi w świetlicy i studiowaliśmy regulaminy. Obaj marynarze coraz śmielej wyjaśniali stawiane im zagadnienia, coraz głębsze pytania sami zadawali. Rozbudził się w nich głód wiedzy i chęć dorównania innym. Dziś coraz rzadziej słyszy się, że st. mar. Konarski i Sawicki wykonali coś nie tak jak należy.

Mat Kic pamięta też o tym, że obowiązkiem jego jest wpajanie marynarzom drużyny zamiłowania do służby wojskowej oraz do broni i nauczenie ich właściwego jej utrzymania.

Wpajanie podwładnym tych zasad mat Kic systematycznie prowadził w swej drużynie. Stałe przeglądy broni, dokładne instruktaże o jej konserwacji, nauczyły całą drużynę utrzymania broni i sprzętu we wzorowym stanie.

Dowódca drużyny korzysta też z takiego środka jak gawędy. Prowadzi je często, wiążąc temat bezpośrednio z życiem pododdziału. W gawędach tych mat Kic posługuje się regulaminem przez co wyrabia u podwładnych zamiłowanie do wzorowego porządku.

Mat Kic często udziela pochwał wzorowym marynarzom drużyny, a najdrobniejsze nawet zaniedbanie omawia się nie tylko z winnymi, ale z całą drużyną, w pełni korzystając z takiej gawędy jako środka wychowawczego. Mat Kic jest także dobrym aktywnym, obowiązkowym i zdyscyplinowanym zetempowcem. Dzięki temu cieszy się autorytetem wśród kolegów i podwładnych, którzy widzą w nim wzór godny naśladowania.

O.

Jak kolegium redakcyjne przygotowuje nową gazetkę ścienną

Kolegium redakcyjne gazetki ściennej, w skład którego wchodzą: przewodniczący — kol. Krawiec, kierownik szaty graficznej — kol. Cieślewicz, i sekretarz — kol. Wieliczko, przy końcu każdego miesiąca robi sobie tematyczny plan pracy redakcji, w oparciu o kalendarz historyczny.

Kolegium wydaje gazetki dekadowo. Przed rozpoczęciem redagowania, na odprawie omawia tematy artykułów potrzebnych do gazetki oraz szatę graficzną, mocno powiązaną z treścią całej gazetki. Na odprawie kolegium sporządzane są kartki, na których wpisuje się temat danego artykułu i nazwisko korespondenta. Po odprawie każdy członek redacji jest odpowiedzialny za natychmiastowe rozprowadzenie kartek wśród marynarzy. Przy wręczaniu kartki, członek kolegium wyjaśnia co w danym artykule winno być wykazane. Artykuły oddaje się redakcji na trzy dni przed terminem. Następnie są one przeglądane i omawiane przez kolegium. Artykuły nie nadające się do gazetki, kol. Krawiec omawia z autorami, tłumacząc im, jakie zagadnienia należałoby w nich jeszcze poruszyć, uwypuklić itp. Gdy autor odpowiednio poprawi swój artykuł zostaje on zamieszczony w gazetce. Przy opracowywaniu szaty graficznej dużą pomocą dla redakcji jest kol. Cieślewicz, oraz przewodniczący Rady Świetlicowej kol. Maruszak.

W każdej gazetce kolegium redakcyjne stara się jak najlepiej pokazać kolegom osiągnięcia w ich pracy i służbie, mobilizuje do wykonania zadań jakie stoją przed całą jednostką, krytykuje opieszalców. Obecnie przygotowywana jest gazetka w związku ze zbliżającymi się Dniami Morza i Dniem Marynarki Wojennej oraz specjalny biuletyn z artykułami mówiącymi o rozwoju Marynarki Wojennej. Na wyróżnienie w biuletynie tym zasługuje artykuł kol. Krawca obrazujący rozwój polskiej floty od XVII wieku do dnia dzisiejszego.

Oprócz dekadowych gazetek wypuszczane są także biuletyny i błyskawice. — Błyskawice — mówi kol. Krawiec — redagujemy bezpośrednio na każdych zajęciach. Np. w czasie strzelania natychmiast umieszczamy w biuletynie osiągnięte w tym dniu wyniki. Wszystkie gazetki, które straciły na aktualności zbieramy do archiwum. Służą one do oceny naszej pracy — jaką przeprowadzamy co kilka miesięcy.

Kolegium redakcyjne, którego przewodniczącym jest kol. Krawiec powinno być przykładem dobrej pracy dla innych.

Naszym wzorem jest mat pchor. Szymański

Jednym z najbardziej wyróżniających się w nauce i dyscyplinie podchorążych naszej Szkoły jest mat pchor. Eugeniusz Szymański. Codzienne jego życie opiera się na regulaminach. W czasie pełnienia obowiązków pomocnika dowódcy plutonu obowiązki swoje wypełniał należycie. Dbał on o wysoki poziom dyscypliny w swym plutonie. Jako starszy i bardziej doświadczony żołnierz służył młodszym kolegom radą i pomocą, jako przełożony był niezwykle wymagający. Bardzo często czytał podchorążym książkę o generale Świerczewskim, o nim też lubił recytować wiersze. „Być takim jak on", stało się dla niego drogowskazem w dalszej przykładnej służbie. Dowództwo stawia mata pchor. Szymanowskiego za wzór zdyscyplinowania, sumienności i koleżeństwa.

Mat pchor. Szymański jest synem robotnika włókienniczego. Przed wojną życie w jego rodzinie było bardzo ciężkie. Rodzice pracowali w fabryce i ledwo zarabiali na utrzymanie rodziny. Po wyzwoleniu warunki życiowe poprawiły się znacznie. Eugeniusz pracował do południa, po południu chodził do szkoły i uzupełniał braki w nauce. W roku 1948 wstąpił ochotniczo do Marynarki Wojennej. Odtąd pełni zaszczytnie służbę tak, jak nakazuje honor żołnierski i przysięga. Przez cały okres swej służby jest przodownikiem wyszkolenia i miano to postanowił utrzymać na zawsze.

Pracą swą daje dowód, że z raz obranej drogi nie zejdzie.

Winniśmy naśladować mata pchor. Szymańskiego!

mat pchor. L. Gruszecki

Postanawiamy podnieść poziom wiedzy fachowej

Zlot przodowników wyszkolenia Łączności Marynarki Wojennej

Onegdaj odbył się zlot przodowników wyszkolenia Łączności Marynarki Wojennej, na który przybyli liczni delegaci ze wszystkich jednostek Mar. Woj. Celem Zlotu była wymiana przodujących doświadczeń i metod pracy naszych łącznościowców.

Zlot otworzył Szef Sztabu Marynarki Wojennej. W swym przemówieniu nakreślił ważne zadania stojące przed łącznościowcami w letnim okresie szkolenia.

W czasie dyskusji zabierali głos przodujący sygnaliści, radiotelegrafiści i telefoniści, jak np. bosmat Pawlak, bosmat Kwaśkiewicz, bosmat Żuraw i bosman Ambrożej. Mówili oni o swej pracy i drogach jakimi doszli do przodownictwa.

Na zakończenie obrad uczestnicy Zlotu podjęli rezolucję, w której postanowiono podjąć apel rzucony przez łącznościowców na II Centralnym Zlocie Przodowników Wyszkolenia Wojsk Łączności o podnoszeniu poziomu wyszkolenia politycznego i wiedzy fachowej.

Obszerne sprawozdanie ze Zlotu podamy w jednym z następnych numerów.

K.

Kucharz st. mar. Mikołaszyk

jest mistrzem w swej specjalności

Przy kotle, z którego bucha smakowity zapach zupy, stoi kucharz. Raz po raz miesza ogromną łyżką zawartość kotła, doprawia, smakuje.

Jest to st. mar. Mikołaszyk. W cywilu również pracował jako kucharz, ma więc duże doświadczenie — zna swą robotę. I co trzeba jeszcze podkreślić. St. mar. Mikołaszyk lubi tę swoją specjalność, co zresztą dodatnio odbija się na jadłospisie. Marynarze nigdy nie narzekają na kucharza, — st. mar. Mikołaszyk tak potrafi przyrządzić swoje specjały, że jedna porcja to stanowczo za mało i trzeba ją ponawiać.

St. mar. Mikołajczyk rozumiejąc ważność zadania jakie wykonuje, stara się jeszcze lepiej pracować. Ale pracować, to dla st. mar. Mikołaszka znaczy nie tylko gotować, to znaczy uczyć się, pomagać młodszym kolegom w poznaniu trudnej sztuki gotowania, równie pięknej i zaszczytnej jak i sztuka nadawania semaforem, czy obsługiwania trałów.

Najwięcej chyba st. mar. Mikołaszyk pomaga mar. Jastrzębskiemu, najmłodszemu z adeptów sztuki kulinarnej, swemu najbliższemu pomocnikowi.

— Za mało słone ziemniaki — zwraca się właśnie do mar. Jastrzębskiego — musisz pamiętać, że należy je solić już po wstawieniu, aby sól należycie mogła się rozpuścić.

Chodź przyprawimy teraz buraczki. — Po chwili pokazuje mu sposób ich przyrządzania.

I tak na każdym kroku st. mar. Mikołaszyk pomaga swym kolegom.

Wielką uwagę zwraca st. mar. Mikołaszyk na czystość i higienę kuchni. Po każdym posiłku wszystko jest należycie wyszorowane i wypłukane, poukładane na swoim miejscu — rondle, kotły, i łyżki świecą niczym małe słońca.

— W pracy pomagają mi rozmowy z marynarzami jednostki — mówi st. mar. Mikołaszyk. — Pytam się jak im smakuje jedzenie, jakie są ich życzenia itp. Z wypowiedzi orientuję się co należy jeszcze zmienić, ulepszyć.

Pomimo to, że kol. Mikołaszyk ma dużo pracy w kuchni nie opuszcza się w pracy społecznej, przodując w wykonaniu obowiązków nałożonych mu przez organizację zetempowską.

St. mar. Mikołaszyk wzorowo realizuje rozkaz Ministra Obrony Narodowej, Marszałka Konstantego Rokossowskiego.

mat Roman Owsianicki

JURIJ GERMAN

BUCIKI

Zbliżają się dni wielkich uroczystości ku czci największego rewolucjonisty polskiego — Feliksa Dzierżyńskiego. Dwudziesta piąta rocznica jego śmierci przypada na dzień 20 lipca. W uroczystościach tych weźmie udział cały naród polski. Poniższe opowiadanie pokazuje nam fragment życia młodego Feliksa Dzierżyńskiego.

W przeddzień wyjazdu do Kowna, 17 marca 1897 roku, wileńscy szewcy urządzili Dzierżyńskiemu, który pracował wśród nich, wieczór pożegnalny.

Najmłodszy w całej kompanii był przyczyną uroczystości. Dopiero co ukończył dwadzieścia lat, nikt jednak nie posądziłby go nawet o dziewiętnaście. Nie nazywano go jeszcze Dzierżyńskim ani też Feliksem. Mówiono po prostu: Jacek, a w jego nieobecności nazywano go „naszym Jackiem".

Szewcy urządzili pożegnanie ze składek pieniężnych, kupili piwa i ugotowali dwa garnki bigosu. Do bigosu dodali liści bobkowych, słoniny i kiełbasy, wsypali co niemiara pieprzu — tyle, ile można było kupić za dziesięć kopiejek!

Dzierżyński siedział pośrodku za stołem, słuchał przemówień i jadł bigos. Jego policzki płonęły. Wiedział już od dawna, że ludzie są mu życzliwi, czy mógł jednak przypuszczać, że siwi i godni szacunku robotnicy uczczą go takimi mowami i takim pożegnaniem?

Zajmował najbardziej honorowe miejsce — między siwowąsym cholewkarzem Grubą i zacnym Dulibą. Częstowali go piwem, którego nie pił, i podsuwali mu bigos, który palił w ustach i wyciskał łzy z oczu...

Ostatnie przemówienie wygłosił cholewkarz Gruba.

Rozprostował ciemnymi palcami okazałe, siwe wąsy, obrzucił spojrzeniem wszystkich obecnych, po czym życzył drogiemu Jackowi w imieniu szewców wileńskich szczęśliwej drogi, zdrowia i owocnej pracy dla dobra i pożytku klasy robotniczej.

— Pozostaniesz na zawsze w naszym sercu — powiedział Gruba i pięścią huknął się w piersi — nie zapomnimy nigdy naszego Jacka, jak kochał i uczył nas, jak pokierował naszym strajkiem, jak pomagał nam walczyć i zwyciężać. Wspomnijmy, przyjaciele, w tej godzinie rozstania nasze życie przed strajkiem! Harowaliśmy osiemnaście godzin, a teraz — wprost nie do wiary— pracujemy tylko jedenaście i pół; oto skutki naszego wielkiego zwycięstwa. Kto dowodził nami w tej walce? Jacek dowodził! Niech żyje nasz drogi Jacek!

Wszyscy krzyknęli „niech żyje!" i wstali, Dzierżyński zaś zaczerwienił się strasznie i pochylił głowę.

— Ale to jeszcze nie wszystko — ciągnął Gruba — to nie wszystko, co chciałbym ci rzec na pożegnanie, nasz drogi Jacku. Chcę ci jeszcze powiedzieć, że wyrośnie z ciebie prawdziwy i wielki człowiek. Inni młodzieńcy w twoim wieku...

Cholewkarz Gruba począł opowiadać, jak żyją inni młodzieńcy i jak Dzierżyński wyprzedził wszystkich znanych mu rówieśników, po czym krzyknął „niech żyje!". Schylił się nagle i wyjął spod stołu wielkie pudełko z żółtej tektury. Nastąpiło ogólne poruszenie. Dzierżyński poczuł na sobie mnóstwo spojrzeń.

Teraz przemawiał Duliba. Przed nim stało przewiązane szurkiem na krzyż pudełko z żółtej tektury, po którym bębnił zgiętym palcem w czasie swego przemówienia.

— Mamy teraz wiosnę — powiedział Duliba — i ty, nasz drogi Jacku, jedziesz do Kowna, gdzie poprowadzisz do boju kowieńskich robociarzy. Wiele cię jeszcze czeka w życiu. Będziesz uciekał przed żandarmskimi psami, będziesz ukrywał się przed szpiclami, będziesz chodził po przedmieściach, po mieszkaniach i chałupach robotniczych, po brudnych ulicach i — Bóg wie — gdzie jeszcze...

Duliba zamilkł, pociągnął swoją zgasłą fajkę i położywszy rękę na ramieniu Dzierżyńskiego, dodał:

— Oto nasz podarunek. Siedemnastu szewców zrobiło ci te buciki. Siedemnastu ludzi radziło nad fasonem, wyborem skóry i formą obcasów. Nie jesteśmy, rzecz jasna, najelegantszymi szewcami w Wilnie. Mieszkamy na przedmieściu, mamy brzydkie szyldy, generałowie nie są naszymi klientami! Za to mocniejszych bucików niż te nie ma na całym świecie! Wytrzymają wszystko, deszcz, błoto, i nie przecieką. Noś je, drogi Jacku, na zdrowie i wspominaj nas często!

Zacny Duliba rozwiązał szpagat i otworzył pudełko. Leżały tam wyśmienite, mocne i lekkie buciki.

— Przymierz! — rozkazał Duliba.

Wszelki opór był bezcelowy. Na środku pokoju postawiono taboret i cała siedemnastka szewców obstąpiła Dzierżyńskiego. Ten zdjął z nogi znoszony stary bucik, wyczyszczony do połysku — szewca i tak nie oszukasz — i naciągnął nowy. Siedemnastu szewców nie spuszczało wzroku z jego nogi podczas sznurowania bucika, potem wszyscy próbowali, czy nie jest zbyt luźny i czy napiętek nie uciska! Każdego ciekawił szczegół przez niego wykonany; Leona Libera interesowała podeszwa, Samuela Majmana obchodziła branzla. Cholewkarz Gruba oświadczył, że cholewki nie udały się, ponieważ bolał go ząb w czasie pracy. Baranowicz upierał się dotychczas przy swoim zdaniu w sprawie noska: taki nosek — to żaden nosek!

W swej odpowiedzi Dzierżyński mówił o nowych bucikach. Lewy bucik co prawda uciskał mu nogę, ale jakże tu przyznać się do tego! Patrzył na ludzi, do których tak się przyzwyczaił i przywiązał, i żegnał się z nimi — na długo? Być może, na zawsze. Niejeden z nich jest już starcem — kto wie, czy dożyje dnia, którego trzeba doczekać?

Mówił, jak zwykle, niewiele i z zapałem, jego młodzieńcze oczy błyszczały pod cienkimi i ciemnymi brwiami. Po przemówieniu zmieszał się nagle i znów zarumienił po uszy — rumienił się często niby dziewczyna.

Wyszli na ulicę późno po północy. Znowu chwycił mróz. Czyste i ciemne niebo usiane było gwiazdami, pod nogami skrzypiał cienki lód. Gawędzili o różnych sprawach, czasami szeptem wtrącali pytanie, czy buciki są dobre, na co Dzierżyński odpowiadał, że znakomite.

— Grunt — filozofował Gruba — że są zrobione na miarę. Najważniejszą rzeczą jest, żeby bucik leżał jak ulany. A za tę miarę to już można ręczyć! Prawda, Jacku? Jak ulany.

— Słusznie — mówił Dzierżyński — jak ulany!

Obok mostku pożegnali się. Przy pierwszych schodkach Dzierżyński zdjął nowe buciki i włożył stare. Jak dobrze było w tych starych bucikach!

*

Jednak w Kownie stare buciki rozpadły się ostatecznie. Doszło do tego, że już nikt nie chciał ich naprawiać, a pieniędzy na nowe nie było. Wtedy to Dzierżyński przypomniał sobie o podarunku. Owinąwszy darowane buciki w gazetę, udał się na poszukiwanie człowieka, który by mu rozciągnął ciasny bucik; na krańcu miasta znalazł szewca, który zgodził się „spróbować".

Minął dzień i Dzierżyński zaszedł do szewca po buty. Staruszka majstra nie było, na jego miejscu siedział podmajstrzy, modrooki, kędzierzawy, w fartuchu; przybijał gwoździami podeszwę i śpiewał.

Rozgadali się.

Chłopcu było na imię Piotr, miał wesołą twarz; Dzierżyńskiego wziął za studenta i wyznał mu, że bardzo chciałby kształcić się, lecz brak mu pieniędzy. Zadał pytanie, dlaczego jedni mają pieniądze, inni nie. Dzierżyński wytłumaczył mu.

Chłopak spojrzał szybko i przelotnie na Dzierżyńskiego, wszelako nie stawiał już żadnych pytań i nadal wbijał kołki do podeszwy buta. Starzec wkrótce wrócił i powiedział, że nie zdążył rozciągnąć bucika, ale jutro wszystko będzie z pewnością gotowe.

— Wobec tego przyjdę jutro — rzekł Dzierżyński i pożegnał się.

Od tego dnia zaczęła się jego znajomość z niebieskookim podmajstrzym szewca. Chłopiec był pojętny, poważny i interesował się wielu sprawami. Kilka razy pożyczał od Dzierżyńskiego popularne książki o budowie ziemi i planet, o elektryczności, fizyce i chemii. Pewnego razu, w czerwcu, znowu poprosił o książki, lecz o inne, ciekawsze.

— Nie wiem, jakie książki są bardziej ciekawe? — powiedział Dzierżyński.

Spuściwszy oczy, chłopiec szepnął cicho:

— Jak wszystko zostało zorganizowane — taką chciałbym książkę.

— Jak to, zorganizowane?

— A właśnie, o bogatych i biednych, o panach i chłopach...

— Po co ci to? — pytał Dzierżyński.

Wieczór był bardzo gorący i duszny. Siedzieli obok siebie na skwerze, obok soboru.

Podmajstrzy popatrzył spode łba na Dzierżyńskiego i wyjaśnił mu szeptem:

— Chcę wszystko zrozumieć.

— A co byś ty chciał zrozumieć?

— Wszystko — z uporem powtórzył chłopiec — wszystko, co wy rozumiecie, chciałbym i ja pojąć.

— A ja, według ciebie, co rozumiem?

— Rozumiecie — wtrącił podmajstrzy — wiem, że wszystko rozumiecie.

— Za takie książki nikt cię nie pogłaska — rzekł Dzierżyński, — za nie można dostać się do więzienia.

— Nie dostaniemy się — powiedział podmajstrzy.

— Nie wiadomo...

— Wiadomo! Nie zdradzę nikomu, co czytam.

Zamilkli. Podmajstrzy rzucił wzrokiem na buciki Dzierżyńskiego i zapytał, czy nie uciskają. Dzierżyński odpowiedział, że teraz już nie gniotą go.

— Dobre buciki — pochwalił podmajstrzy. — Zrobione jak należy. Takich bucików człowiek nie zedrze. Kto je robił?

— Szewcy — padła odpowiedź.

Dzierżyński chciał dodać, że siedemnastu szewców robiło te buciki, ale zamilkł.

Podmajstrzy wyjął z kieszeni paczkę drogich papierosów „Turczanka" — dwadzieścia pięć sztuk, czterdzieści kopiejek — i podał je Dzierżyńskiemu.

— Drogie papierosy — rzekł Dzierżyński — nie jestem przyzwyczajony do takich...

Począł kręcić papierosa z taniej siekanki. Skręcił, wsadził go do drewnianej cygarniczki i zapalił.

Podmajstrzy okrył się lekkim rumieńcem.

— Odniosłem jednemu panu buty do mieszkania — powiedział — i dostałem paczkę. Wziąłem, miałem może nie brać?

Dzierżyński milczał. Nie spodobał mu się nagle ten jasnooki kędzierzawy szewczyk, ładnie skrojony i mocno zszyty. Ale dlaczego?

Chłopiec zaczął opowiadać o swoim życiu, o przeklętej harówce za nędzne grosze, o starym majstrze, który bił po pijanemu, a kiedy był trzeźwy zmuszał do pracy przez całą dobę. Głos jego był smutny, dziecinne jasne oczy patrzały gdzieś w dal, na stopnie soboru.

— Żyjesz — ciągnął — i co widzisz w tym życiu? Wielkie miasto — człowiek chciałby zabawić się, ale czasu nie starczy. Odzieży też nie ma! Dokąd pójdę, taki zamorusany? W lecie jeszcze pół biedy, ale w zimie można oszaleć. Nie ma się w co ubrać. Pieniędzy też nie ma, nawet na pestki, co dopiero mówić o sprawieniu sobie kompletnego ubrania czy choćby surduta. Inni potrafią się urządzić, znaleźć jakieś odpowiednie miejsce, wkręcą się nawet na lokaja lub subiekta — tym powodzi się nieźle!...

— Lokajskie życie nie jest słodkie rzekł Dzierżyński!

— A moje, to niby słodkie?

Rozmawiali długo i Dzierżyńskiemu coraz bardziej żal było młodego i silnego człowieka, skazanego na tak ponury, tęskny i beznadziejny żywot, jaki czekał podmajstrzego.

— Gdybym dostał książki — powiedział chłopiec — poczytałbym chociaż, zawszeć to weselej; lepiej już skończyć ze sobą niż tak dalej żyć.

— Dobrze — powiedział Dzierżyński — dam ci książki. Tylko nikomu nie pokazuj, bo będziesz miał nieprzyjemności i mnie sprawisz kłopot.

— Przysięgam na święty krzyż! — powiedział chłopiec i przeżegnał się z rozmachem.

Postanowili spotkać się po dwóch dniach na tym samym miejscu, najpóźniej o godzinie pierwszej po południu.

— Tylko przynieście mi na pewno książeczki — przypomniał raz jeszcze podmajstrzy — nie zapomnijcie!

Dzierżyński mimo woli zajrzał mu w oczy: dlaczego uczepił się tak tych książek? Zaklina się, wzywa Boga i prosi. Co to takiego?

Oczy chłopca były jednak zupełnie przejrzyste i spokojne, tak dalece spokojne, że Dzierżyński zmieszał się.

„Stałem się zbyt podejrzliwy — pomyślał — trzeba wziąć się w karby!".

W umówionym dniu i o oznaczonej godzinie przyniósł obiecane książki na skwer pod soborem. Podmajstrzy już czekał na niego, siedział na ławeczce i gryzł pestki.

Była to niedziela, w soborze odbywało się nabożeństwo, na stopniach tłoczył się tłum wiernych, którzy nie mieścili się w soborze; do skweru dochodził głos chóru słynnych w Kownie śpiewaków cerkiewnych. Skwer roił się od ludzi, gimnazjalistów, nianiek z dziećmi, poważnych dam kowieńskich, które spacerowały pod parasolkami, aby — broń Boże — nie opalić się.

Ujrzawszy Dzierżyńskiego podmajstrzy wstał i poszedł naprzeciw. Dzierżyński zauważył na nim nową zieloną koszulę, nowy lakierowany pasek i zwrócił uwagę na jakiś dziwny wyraz jego oczu; wszystko to razem było tak podejrzane, że chciał przejść obok niego, ale wyczuł, że było już za późno. Za podmajstrzym kroczył przebrany po cywilnemu wąsaty żandarm o czerwonej twarzy, poruszając się z trudem na grubych nogach, w meloniku i w długim surducie.

Iść naprzód nie było celu.

A może cofnąć się?

Starając się zachować spokój, odwrócił się i natychmiast poczuł, że ktoś chwycił go za rękę powyżej dłoni. Człowiek ten, w słomkowym kapeluszu i w białym ubraniu z czesuczy*, siedział przed chwilą na ławce.

— Tylko bez hałasu, młody człowieku — powiedział jegomość w słomkowym kapeluszu głosem starego żandarma — naprzód marsz, za mną!

Dzierżyński obejrzał się. Za nim szedł tamten grubas w meloniku i sapał jak parowóz; nie było sensu stawiać oporu. Chciał jednak jeszcze raz popatrzeć na człowieka, który go zdradził, i odwrócił się.

Chłopiec stał pośrodku alei na skwerze, rozstawił szeroko nogi i wypluwał łupiny pestek. Nowa koszula lniana wisiała na nim jak worek, a jego dziecinne oczy nie wyrażały nic prócz spokojnej, a nawet rzeczowej ciekawości.

Jegomość w słomkowym kapeluszu zawołał na rogu dorożkarza. Dzierżyński usiadł obok grubego agenta, a jego mały kolega w czesuczowym ubraniu zajął miejsce naprzeciw na ławeczce i położył na kolanie aresztowanego niklowanego „Smith - Wessona"**. Jechali długo. Kiedy za zakrętem ulicy wyłoniło się więzienie, pierwsze więzienie w jego życiu, Dzierżyński zapytał:

— Ile pieniędzy otrzymał prowokator za to, że mnie zdradził?

Gruby agent spojrzał nań z ukosa i odpowiedział dosyć dobrodusznie:

— Dziesięć rubli w banknotach obiegowych, o ile wam to ulży.

— Tanio! — uśmiechnął się Dzierżyński.

— Dla niego to dużo pieniędzy — powiedział agent — w życiu nie widział takiej sumy. Tylko z początku tak płacimy, później więcej. Zarobek pewny.

Dorożka zadudniła po bruku na placu i zatrzymała się przed bramą więzienną; na żelaznych zawiasach zaskrzypiała furtka, strażnik pociągnął za sygnałowy sznurek i wezwał podoficera. „Dobry początek — pomyślał spokojnie Dzierżyński — oto i więzienie".

*

Nie ma chyba gorszego przestępstwa niż zdrada i nie ma potworniejszego słowa niż wyraz „prowokator".

Dotkliwie cierpi ten, kto pada ofiarą zdrady.

Trudno skupić myśli, jeśli wiesz, żeś został zdradzony, trudno przezwyciężyć w sobie uczucie gorzkiej krzywdy i zmusić się do myślenia o czymś innym. Trudno uspokoić się i pogodzić z myślą, że jesteś zamknięty w pojedynce z winy prowokatora, że okno twoje jest zagrodzone kratą, a na drzwiach wisi ciężka kłódka.

Trudno myśleć o czekającym cię śledztwie, o katordze i zesłaniu, o długich i ciężkich etapach wygnania. W więzieniu trzeba o tym myśleć spokojnie, bez zdenerwowania, w przeciwnym bowiem razie zasypiesz się w śledztwie, zatrujesz życie towarzyszom w celi i sam będziesz cierpiał.

Było to może dziwne, ale Dzierżyńskiemu pomogły buty. W jednej z najcięższych chwil, w pojedynce, pod wieczór spojrzał na swoje buciki, wspomniał siedemnastu szewców wileńskich, uśmiechnął się i potrząsnął głową.

Cóż robić!

Zdrajca był samotny, ich zaś było siedemnastu. Nawet nie siedemnastu, lecz o wiele więcej. A prowokator jest samotny, zawsze samotny. Niech więc sczeźnie!!

*

Później często spoglądał na swoje buciki. Wspominał przy tym szewców wileńskich, strajk, pożegnanie, piwo i bigos.

I serce jego poczynało bić spokojnie.

---

* Chińska tkanina z surowego jedwabiu.

** Marka fabryczna pistoletu.

Opowiadania o Feliksie Dzierżyńskim

W dniu 20 lipca br. cały naród polski obchodzić będzie uroczyście rocznicę śmierci Feliksa Dzierżyńskiego, wielkiego Polaka - rewolucjonisty. Każdy marynarz winien zapoznać się z życiem i walką tego wielkiego człowieka. Umożliwi mu to wydana w ramach „Biblioteczki Żołnierza" książka pod tytułem „Opowiadania o Feliksie Dzierżyńskim".

Jest to zbiór opowiadań, napisany przez znanego radzieckiego pisarza Jurija Germana. Trudno jest w krótkich opowiadaniach o niezwykłym życiu niezwykłego człowieka dać pełny jego obraz. Mimo to należy stwierdzić, że German z powodzeniem dał cały szereg żywych szkiców, ukazujących nam Feliksa Dzierżyńskiego z wielu różnych stron. Poznajemy cały szereg cech najbardziej dla niego charakterystycznych — jego wielką dobroć, wrażliwość na cierpienie i krzywdę człowieka, rozum, niezwykłą siłę charakteru i odwagę, rzadkie zdolności organizacyjne. Widzimy w tych opowiadaniach człowieka, całkowicie, bez reszty oddanego sprawie rewolucji, sprawie wyzwolenia człowieka spod ucisku, sprawie budowania państwa socjalistycznego.

Książkę swą napisał German z wielką prostotą, która przemawia do czytelnika z każdej stronicy. Autorowi bowiem chodziło nie o efekt literacki — usiłowania jego poszły w kierunku stworzenia żywego i realnego wizerunku wielkiego człowieka i rewolucjonisty.

Opowiadania te nie stanowią pełnej biografii, ułożone są jednak chronologicznie, ukazują nam Feliksa Dzierżyńskiego w jego akcji rewolucyjnej, jako działacza nielegalnej partii socjaldemokracji litewskiej, poprzez więzienie i ucieczki, aż do udziału w Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, jej zwycięstwie i dalszej pracy przy budowie podstaw państwa socjalistycznego.

Opowiadania dzielą się na dwie części. Pierwsza z nich to opis walki, pracy i cierpień Feliksa Dzierżyńskiego, druga zaś to dzieje walki i pracy podczas i po Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Zbiorek ten zaciekawi każdego czytelnika jako dobra, wartościowa lektura.

Praca radiowęzła w jednostce

Przykładem dobrego wykorzystania radiowęzła w życiu jednostki jest radiowęzeł, którym kieruje mat Grajek. Na każdy miesiąc opracowuje on plan pracy wspólnie z kolegą Leśniewiczem i zastępcą do spraw politycznych. W planie umieszczone są wszystkie formy pracy radiowęzła oraz nazwiska marynarzy odpowiedzialnych za realizację poszczególnych punktów planu. Plan jest ściśle przestrzegany i realizowany.

Poprzez radiowęzeł przeprowadza się pogadanki popularyzujące przodowników wyszkolenia, wymieniają doświadczenia marynarze różnych specjalności, omawia się ważne artykuły z gazety „Na straży Wybrzeża", podaje się codzienny przegląd wydarzeń z życia jednostki. Na wysłuchanie audycji wszyscy marynarze zbierają się w świetlicach, żywo dyskutując potem o usłyszanych zagadnieniach.

Mat Grajek prowadzi również zeszyt życzeń, w którym marynarze wpisują swoje doświadczenia i osiągnięcia, aby poprzez radiowęzeł przekazać je następnie marynarzom.

W każdą sobotę i niedzielę zespół orkiestry i chóru pod kierownictwem mata Kunickiego nadaje audycje poświęcone przodownikom wyszkolenia i wyróżnionym w ciągu tygodnia marynarzom. Kiedy marynarze wykonują jakąś pracę w rejonie jednostki, radiowęzeł nadaje muzykę rozrywkową. Po ukończeniu pracy, podaje się do wiadomości całej jednostki wyróżnionych w pracy marynarzy.

Radiowęzeł pomaga Radom Świetlicowym w organizowaniu pracy. Dlatego wszystkie Rady Świetlicowe winny zacieśniać swą współpracę z kierownikami radiowęzłów, a napewno poziom pracy świetlicowej jeszcze bardziej wzrośnie.

mat Owsianicki

Tylko do użytku wewnętrznego w jednostkach Marynarki Wojennej. Poza teren jednostki nie wynosić.

Ze sportu

Osiągamy dobre wyniki

Nasi zawodnicy zapominają jednak o konieczności przeprowadzania stałych treningów

Jak donosi nasz korespondent, elew Zbigniew Kończak, w ubiegłą niedzielę odbyły się w ich jednostce garnizonowe zawody sportowe. Zawody wzbudziły żywe zainteresowanie wśród całego stanu osobowego jednostki o czym świadczy fakt, że przybyli na nie wszyscy wolni od służby marynarze.

Oto najlepsze wyniki uzyskane przez sportowców tego garnizonu:

W biegu na 100 m zwyciężył elew Szczygieł w czasie 12,6 sek. przed elewem Cieśkiewiczem — 12,7 sek.

W rzucie granatem pierwsze miejsce przypadło elewowi Szwedowi rzutem 54,77 m, drugie miejsce w tej konkurencji zajął elew Nowak, rzucając na odległość 52,50 m.

Tytuł mistrza w skoku w dal przypadł w udziale elewowi Kończakowi — skok wynosił 5,43 m. Tytuł wicemistrza zdobył elew Rec — 5,00 m.

W biegu na 1 500 m najlepszy czas osiągnął elew Kończak 4,45,6 min. przed elewem Firstem — 4,56,0 min.

Życie sportowe coraz wspanialej rozwija się w naszej jednostce. Mamy już wielu dobrych sportowców. Wymienię choćby mar. Rożańskiego, który przy zdawaniu norm na odznakę SPO uzyskał czas 12,5 sek,, mar. Marciniaka czy Nowaka osiągających w pchnięciu kulą ponad 10 m, mar. mar. Koryckiego, Pecka, Jackowskiego i Waliszkę zwycięzców Biegów Narodowych.

Pisząc o pozostałych marynarzach trzeba stwierdzić, że częstokroć zapominają oni o konieczności przeprowadzania treningów — podstawy wszystkich osiągnięć.

Koledzy, wzmóżmy w okresie letnim troskę o poziom sportu i WF w naszej jednostce!

K.

Flota zwycięża Gwardię-Gdańsk w siatkówce w stosunku 3:2

W dniu wczorajszym KSMW „Flota" rozegrała w Gdyni towarzyski mecz siatkówki z „Gwardią" Gdańsk. Po zaciętej, pięciosetowej grze, wygrali nasi zawodnicy w stosunku 3:2 (17:15, 11:15, 11:8, 6:15, 15:11).

Gra stała na bardzo wysokim poziomie. Zawodnicy obu drużyn z poświęceniem walczyli o piłkę, za co raz po raz otrzymywali rzęsiste brawa od licznie zebranych kibiców.

W skład drużyny „Floty" wchodzili: of. Żochowski, of. Krajewski, st. bosm. Surmacewicz, bosmanmat Gembski, mat Dorocinkowski i mar. Faszcza.

Nasi zawodnicy wykazali, że są w doskonałej formie, że śmiało walczyć będą w tym roku o ponowne zdobycie tytułu Mistrza Wojska Polskiego w siatkówce.

K.

WALENTIN KATAJEW

Sztandar

(OPOWIADANIE)

— Zobaczą ją — powiedział dowódca wkładając płaszcz. — Dużą flagę na kościele. Jak sądzisz, komisarzu, czy zauważą ją? Trzeba, by ją koniecznie zauważyli. Musi być jak największa. Czy zdążymy?

— Mamy sporo czasu — powiedział komisarz szukając czapki. — Mamy przed sobą całą noc. Nie spóźnimy się. Zdążymy uszyć flagę. Chłopcy pracują. Będzie ogromna. Ręczę ci za to.

Uścisnęli się i ucałowali. Pocałowali się mocno, po męsku, czując na wargach ostry smak skóry opalonej na wietrze. Pocałowali się pierwszy raz w życiu. Spieszyli się. Wiedzieli, że już nigdy nie będą mieli na to czasu.

Komisarz wszedł do kubryku i z wysokiego stolika zdjął popiersie Lenina oraz pluszową serwetkę malinowego koloru. Później stanął na stołku i zdjął ze ściany transparent z hasłami.

Całą noc garnizon fortu szył sztandar, ogromny sztandar, z trudem mieszczący się na podłodze kubryku. Zszywano go dużymi marynarskimi igłami i grubymi nićmi z najróżniejszych kawałków materiału, ofiarowanych przez marynarzy.

Krótko przed świtem sztandar był gotowy.

Wtedy marynarze ogolili się po raz ostatni, włożyli czyste koszule i jeden po drugim, z pistoletami maszynowymi zawieszonymi na szyi i kieszeniami wypchanymi nabojami, zaczęli wychodzić schodkami na górę.

O świcie do kajuty von Ewerscharpfa zapukał dowódca warty. Von Ewerscharpf nie spał. Leżał ubrany na posłaniu. Podszedł do umywalni, przyjrzał się sobie w lustrze i natarł wodą kolońską worki pod oczami. Dopiero potem pozwolił wejść dowódcy warty. Dowódca warty był wzburzony. Z trudem powstrzymywał szybki oddech, unosząc rękę do salutowania.

— Jest chorągiew na kościele? — zapytał szybko von Ewerscharpf bawiąc się rękojeścią sztyletu z kości słoniowej.

— Tak jest. Poddają się.

— Dobrze — powiedział von Ewerscharpf. — Przyniósł mi pan doskonałą wiadomość. Świetnie. Zwołać wszystkich na górę.

Po chwili stał na szeroko rozstawionych nogach na kapitańskim mostku.

Nad konturem rybackiego osiedla wznosił się wąski trójkąt kościoła z czarnym, prostym krzyżem, odcinającym się wyraźnie na tle zachmurzonego nieba. Na samym szczycie powiewał wielki sztandar. W półmroku świtania był zupełnie ciemny, prawie czarny.

— Biedacy — powiedział von Ewerscharpf. — Musieli zapewne oddać wszystkie swoje prześcieradła, by uszyć taką ogromną białą flagę. Ha, trudno. Kapitulacja pociąga za sobą pewne niewygody.

W tej samej chwili ukazało się malinowe słońce. Było zawieszone pomiędzy niebem a wodą, jego górną część przesłaniała długa chmura, a dolna dotykała postrzępionego morza. Ponure światło zalało wyspę. Sztandar na kościele stał się czerwony jak rozpalone żelazo.

— Tam, do diabła, bardzo ładny obraz — powiedział von Ewerscharpf. — Słońce zabarwiło białą chorągiew na czerwono, ale za chwilę zmusimy ją, by zbielała.

Szalupy desantowe przybiły do brzegu.

Zanurzeni po pas w spienionej wodzie, trzymając nad głowami pistolety maszynowe, skacząc po kamieniach, ślizgając się, padając i znów podnosząc się, Niemcy biegli w kierunku fortu. Oto już są na skale, oto już wbiegają w otwarte strzelnice baterii.

Von Ewerscharpf stał wpijając palce w poręcz mostku kapitańskiego. Nie odrywał oczu od brzegu. Był zachwycony obrazem szturmu. Przez twarz przebiegały mu dreszcze.

— Naprzód, chłopcy, naprzód!

Naraz podziemny wybuch o potwornej sile wstrząsnął wyspą. Ze strzelnic wyleciały w górę strzępy odzieży i ludzkich ciał. Skały napierały jedna na drugą, rozpadały się. Coś unosiło je z czeluści wyspy na powierzchnię, a potem znów spychało w ziejące rozpadliny, gdzie wysadzone w powietrze działa piętrzyły się stertami okopconej stali. Trzęsienie ziemi wstrząsnęło wyspą.

— Oni wysadzają w powietrze baterie! — krzyknął von Ewerscharpf. — Złamali warunki kapitulacji.

W tej samej chwili chmura powoli nakryła słońce. Czerwone światło, które swym blaskiem oświetliło wyspę i morze — zgasło. Wszystko dokoła przybrało jednostajny granitowy odcień. Wszystko — prócz sztandaru na kościele.

Von Ewerscharpf w pierwszej chwili pomyślał, że zwariował. Wbrew wszystkim prawom fizyki, olbrzymia flaga na kościele pozostała nadal czerwona. Na szarym tle krajobrazu jej czerwony kolor był jeszcze bardziej wyrazisty. Bił w oczy. Wtedy von Ewerscharpf uprzytomnił sobie, z kim walczy. To nie było złudzenie optyczne. To nie słońce oszukało von Ewerscharpfa — to on oszukał samego siebie.

Eskadry bombowców, szturmowców i myśliwców uniosły się w powietrze. Niszczyciele, torpedowce i desantowe szalupy ze wszystkich stron runęły na wyspę. Nowe tyraliery desantu wdrapywały się na mokre skały. Spadochroniarze jak tulipany spadali na dachy rybackiej osady. Wybuchy szarpały powietrze na strzępy.

Pośród tego piekła 30 radzieckich marynarzy, którzy okopali się pod przyporami kościoła, wystawiło swoje pistolety maszynowe i karabiny maszynowe na wszystkie cztery strony świata: na południe, na wschód, na północ i na zachód. Żaden z nich w tej straszliwej, ostatniej godzinie nie myślał o życiu. Sprawa życia była rozstrzygnięta. Wiedzieli, że umrą, ale umierając chcieli zniszczyć możliwie najwięcej wrogów. Na tym polegało bojowe zadanie. Wypełniali je do końca.

Lecz siły były zbyt nierówne.

Zasypywani odłamkami cegieł i gzymsów, które pociski wybuchowe odbijały od murów kościoła, z twarzami sczerniałymi od dymu, zalani potem i krwią, tamując krew watą wydartą spod podszewki marynarskich kurtek, 30 radzieckich marynarzy padało jeden po drugim, strzelając do ostatniego tchu.

Nad nimi powiewał olbrzymi, czerwony sztandar zeszyty dużymi, marynarskimi igłami i grubymi marynarskimi nićmi z najróżniejszych skrawków — ze wszystkiego, co znalazło się w marynarskich kuferkach.

Ten sztadar był uszyty z pamiątkowych chusteczek jedwabnych, z czerwonych chustek trójkątnych, z wełnianych malinowych szalików, różowych kapciuchów, z pąsowych podszyć kołder, koszulek. Purpurowa oprawa płócienna pierwszego tomu „Historii Wojny Domowej" i dwa portrety — Lenina i Stalina, wyhaftowane na wiśniowym atłasie — podarunek dziewcząt z Kujbyszewa — również były wszyte w tę płomienną mozaikę.

Na zawrotnej wysokości, śród płynących chmur, sztandar powiewał, trzepotał się, płonął, jak gdyby niewidzialny olbrzym-chorąży niósł go w uniesieniu przez bitewny dym naprzód ku zwycięstwu.

KONIEC

Redakcja: Gdynia, ul. Waszyngtona 44 Redaguje: Zespół. Wydaje: Zarząd Polityczny Marynarki Wojennej Wyd. MON Gd. - 968 - W-2-13657